

Daléj postępował oddział artyleryi polowéj cesarza marokańskiego: dwie półbaterye po 8 dział sześćcio-funtowych. Materiał, konie, zaprzęgi i ludzie, niezły przedstawiały widok; kolor ciemnoczerwony mundurów doskonale był zastosowanym do czarnego koloru cery artylerzystów, złożonych z samych murzynów. W téj broni nawet i oficerowie byli murzynami. Potępione rasy lub kasty, wszędzie odzyskują swą wziętość, gdzie potrzeba rozumu. I tak przed niedawnemi czasy w wojsku pruskiém mieszczanin nie mógł dostąpić stopnia oficerskiego, chyba w artyleryi. I cóż z tego wynikło? Oto, że najlepsze głowy znalazły się razu pewnego nagromadzone w najuczeńszej broni, a uważanej za najniższą. I w ewolucjach nawet artylerya marokańska nie stała daleko poza niektórymi europejskimi. Działa wbiegały szybko na pozycye, odprzodkowywano je, nabijano zręcznie, ale celowano niemi źle i trafiano jeszcze gorzej; gorzej daleko jak z dwufuntowych działek umieszczonych na grzbiecie wielbłądów. Dlatego téż książę Albert dobry przyjaciel następcy tronu marokańskiego, posłał mu armaty wraz z artylerzystami, aby nauczyć Marokańczyków dobrze mierzyć i strzelać, i wzniecić w młodym księciu chęć do boju z dobrymi sąsiadami Albionu.

Na wszystkie parady i ewolucye lądowe i morskie patrzyliśmy z miradoru wzniesionego na dachu pałacyku naszego. Siedzieliśmy *incognito* nie w mundurach, tylko w wygodnym stroju maurytańskim: w lekkim zawoju i czepcu muślinowym, okrywającym twarz prawie całą, w szerokich dżiabbadorach i w lekkiej długiej szubie. A siedzieliśmy na poduszkach z skrzyżowanemi nogami, paląc nargile, najczęściej zatopieni w myślach i milczący, czasem tylko wywracając oczyma jak natchnieni, jeszcze rzadziej udzielając sobie myśli naszych słowami, dobrze naprzód przemyślanemi.

Tak mimowolnie przyjmować zaczęliśmy zwyczaje i giesta nawet naszych gospodarzy Maurów. Widać, że apatia najlepiej się stosuje do przyrody kraju tak gorącego, i zresztą mniej szkodzi w tym klimacie jak w innym.

XVI.

Maroko. Powrót do Mogadoru i do Europy.

Bawimy już od 10 dni w Maroko. Czas schodzi prędko, chociaż na jednostajném zatrudnieniu w szpitalu. Bóg błogosławi naszym pracom: wielka ilość chorych, trudnych jak się zdawało do

uratowania, odzyskała zmysł drogi widoku na jedno, nawet na oba oczy. Ze świeżo zapadłych, ledwo jeden na 25 traci oko. Pomimo tego mało nas wzywają do prywatnych chorych, tylko do wysokich panów, gdzie praktyka bardzo niewygodna. W mieście trwa jeszcze przesąd przeciw chrześcijańskim doktorom, wzywającym czarta na pomoc, jak się dali słyszeć nasi dobrzy marokańscy koledzy, renegaci, czy Maurowie.

Następca tronu już kilka razy odwiedził szpital. Chwalił nas, oświadczeniami i grzecznościami obsypywał, podarunkami, nawet obdarzał, niewiele wprawdzie wartującami, aleśmy koniowi nie zaglądali w zęby i ciągle pracowali.

Epidemia ustawać zaczęła. Rozeszło się w mieście, że to w skutek modłów, które imany, mustowie, muezziny i fakiry stali ku niebu. Z kaznadarem jesteśmy ciągle w stycznościach szczerych i tajemnych, z panem Simoni zaś w stosunkach jawnych a nie-szczerych.

Naczelnik komitetu medycznego żądał, abyśmy go odwiedzili. Odpowiedzieliśmy dostojnemu mulatowi, że czasu nie mamy, że dobrze będzie przyjętym, jeżeli nas raczy uczcić swą wizytą. Pan prezes nie przyszedł.

Wypędziliśmy ze szpitalów wszystkich tak nazwanych uczniów szkoły lekarskiej wojskowej, bo do niczego nie byli zdolnemi; przekonaliśmy się nawet, że nam robią na przekor, i że niejednego niepowodzenia stali się umyślnemi przyczynami. Widocznie w zмовie byli z panami radcami i lekarzami miejskiemi.

Należało zastąpić tych panów uczniów tak nazwanej szkoły lekarskiej innemi, na chirurgów pomocniczych i na infirmerów zdolnemi ludźmi. Nie brakło takich w Maroko. Murzyni i żydzi służący tam w licznych zakładach łaźniennych, zręczniejszemi się okazali, ochotniejszemi i zdutniejszemi od wszystkich Maurów i renegatów marokańskich. Łatwo ich było nauczyć puszczania krwi, stawiania baniek i pijawek, i innych manipulacyj niższej chirurgii. Kilku-nastu z tych murzynów wyszło nawet na bardzo zręcznych wojskowych fclcerów, podczas naszego krótkiego pobytu w Maroko. Pan Simoni i kilku z młodych lekarzy uznali przecież, że można się było czegoś nauczyć w naszej praktyce i nie opuszczali żadnej sposobności przypatrywania się naszym działaniom podczas godzin wizytowych. Prócz tych godzin, każdemu do szpitala nienależącemu, czy lekarzowi, czy oficerowi, żeby najdostojniejszemu wstęp był wzbroniony.

infirmierom zaś pod żadnym pozorem niewolno było oddalać się z niego. Porządku pilnowała warta cesarska i janczarowie do naszej służby przeznaczeni.

My pilnowaliśmy szpitala, a nas z drugiej strony pilnowała warta cesarska. Spostrzeżliśmy wkrótce, że wszystkie nasze kroki są śledzone, że żadne z naszych działań nie uchodzą oka gospodarzy: we wszystkich wycieczkach do miasta i do okolic towarzyszyła nam warta, nibyto dla honoru. Często wstępowaliśmy do dzielnicy żydowskiej, opasanej osobnym murem, w samym mieście na końcu zachodnim, w miejscu, gdzie rzeka Tenesif przebiegająca całe miasto, wychodzi pod pokrytym mostem, dobrze kratami i działami opatrzonym z miasta Maroko. Zakupywaliśmy różne towary w tej dzielnicy u żydów, z którymi, chociaż lubią oszukiwać, zawsze łatwiejsza sprawa, jak z Maurami, również chciwymi jak żydzi, a więcej wymagającymi, po największej części bardzo złośliwymi i zawsze na chrześcian rozjątrzonemi.

Proszono nas, abyśmy nigdy nie puszczali się inaczéj do miasta, jak w lektykach dobrze zasłoniętych; utrzymywano, że spotkać nas może jaka niegrzeczność ze strony Maurów, jeśli tej ostrożności zaniedbamy. Zmieniano nam nawet lektyki co trzeci lub czwarty dzień, dla usunięcia wszelkiej obawy. Warta nam tedy towarzyszyła, nie janczary, lecz gwardya cesarska komenderowana przez starego oficera, który stale u nas przebywał i z oka nie spuszczał *tibów*.

Oficer wchodził z nami do sklepów i tam usiadłszy ze skrzyżowanymi nogami na kantorze, nic nie mówił, ale na wszystkie nasze ruchy i mowy pilną zwracał uwagę. W wycieczkach konnych za miasto, także nam towarzyszył nasz Argus. Jedném słowem, byliśmy w Maroko gośćmi bardzo pilnie strzeżonemi.

Mosiek zapoznał nas z kilkoma żydami bardzo majątnemi. Udało nam się parę razy oszukać baczność naszego baszy i odwiedzić tych żydów w ich mieszkaniach. Wielki i zupełnie niespodziewany u nich znaleźliśmy przepych: najpiękniejsze kobierce i jedwabne ciężkie materye, złote kandelabry zdobiły ściany, sufit i podłogę; kobiety bogato, lecz niekoniecznie gustownie ubrane, witały nas z wielką serdecznością, dziękując za wyświadczony im zaszczyt. Wiele było prawdziwie pięknych pomiędzy temi kobietami: typ takiż jak i u nas, charakter twarzy zawsze ten sam, chociaż marokańscy żydzi utrzymują, że pochodzą z pokolenia Levi, i że tak wielka pomiędzy nimi a innemi żydami zachodzi różnica, jak pomiędzy niebem

a ziemią, lub téż koniem a osłem. Bardzo téż są dumni ze swego szlachectwa, i za nic w świecie nie chcą się mieszać związkami małżeńskimi z żydami, których tu nieraz burze losu, lub szacherka z dalekich stron zawieje.

Pomimo tego nie masz pomiędzy żydami maurytańskimi uczonych żydów, jak pomiędzy naszymi. Belfery ich wykładają stary testament i talmud w arabskiem tłumaczeniu; bardzo rzadko trafi się tutaj żyd umiejący po hebrajsku, a taki jest uważany za nadzwyczajnie uczonego.

Tylko wewnątrz domów żydzi ubierają się czysto; na ulicach wszyscy chodzą prawie w łachmanach brudnych i ciemnego koloru, a to aby ujść chciwości Maurów, pozwalających sobie wielkich względem nich nadużyć.

Raz bawiąc u jednego żyda, który dużo po świecie podróżował, dowiedziałem się, że się znajduje nieopodal w karawanseraju żydowskim Izraelita jakiś bardzo biedny, a urodzony w Polsce.

Zelektryzowała mnie ta nowina. Tu u podnóża Atlasu znaleźć rodaka, choćby tylko w biédnym żydku, to przecież wielka rozkosz. Posłałem mego Moška na odszukanie tego żyda i dodałem mu janczara do eskorty. Przyprowadzają mi biédnego, ze strachu truchlejącego żydka; mógł mieć około lat dwudziestu sześciu, ale okropnie był wynędzniały i obdarty, przytém na jedno oko nie widział.

— Żydku, mówisz ty po polsku? — przemówiłem do biedaka. On już i tak struchlały zaczął się trząść na całym ciele, otworzył usta i przemówić nie mógł ani słowa. Widziałem jednakże, że mnie rozumie, i dodałem: — nie bój się biédaku, ja ci nic złego nie zrobię: ja twój przyjaciel, *rodak*.

Teraz dopiero żydek odzyskał zmysły, przyskoczył do mnie, do nóg mi upadł i znów skoczył na nogi i całować mnie zaczął po rękach; nawet do twarzy mi się dobrał z rzewnością, o jakiej nikt sobie nie zdoła zrobić wyobrażenia. Krzyczał jak opętany: „ja z Polski, ja z Brodziech, był tam jegimóść? Aj waj! issydues! ja syn starego Szmulu. Aj waj mir! on już nie żyje! zabili go te hultaje jak wracał z Tafletu z proszkiem złotym, z jedwabiem, z kością słoniową, perfumami Arabii i innemi drogiemi towarami.”

I nuż znowu biédny żyd płakać, szlochać i wyrывать sobie brodę. Nareszcie się przecież uspokoił i mógł opowiedzieć historią swego życia i swych nader ciekawych wędrówek. Ojciec Icka Szlamy był kuźnikiem i handlarzem futer w Brodach, i dobrze mu się

bardzo wiodło: dzieci miał przeszło mendel. Wtém wybucha w Brodach cholera; z saméj rodziny Icka umiera ośm osób. Stary Szmul Szlama przymuszony pokutować na worku popiołu przez ośm tygodni, bo taki zwyczaj u prawowiernych żydów, zasmakował podczas pokuty w czytaniu ksiązek religijnych, a szczególnie w talmudzie. Książki te i medytacje tyle dokazały, że Szmul oddał się całkiem religii, że handel swój i skład wyprzedał, i z całą pozostałą mu familią, a było tego jeszcze sporo, bo i żona i siedmioro dzieci, do Jerozolimy pociągnął. I tu w Jerozolimie także Szmul zamiast pracować i szachrować, książkom się jedynie, modłom i medytacyom oddawał, aż się wkradła do familii bięda okropna. Ocknął się wówczas Szmul, i chociaż już niemłody, zakupił za resztę swego majątku towarów i poszedł w świat, naprzód do Beyrut, obiecując, że wróci za półtora roku z pięknym majątkiem. A znał się na handlu doskonale stary Szmul: wiedział co gdzie tanie i co gdzie poszukiwane. Poszedł w świat i dał znać o sobie z Beyrutu, potem z Alexandryi, z Kairu i z Tripolis, a potem już nie pisał i Bóg wie co się z nim stało, bo rok jeden i drugi minął, a listów nie było, ani wiadomości. Wówczas rodzina Szmulowa doszła do najwyższego szczebla nędzy, a litości mało jest pomiędzy żydami w Jerozolimie; daleko jęj więcej w Polsce. I Szmulowa powiedziała do swych dwóch synów starszych: idźcie i odszukajcie ślad ojca. Icek i Boruch Szlama dostali się naprzód do Tripolis; tam im powiedzieli żydzi, że Szmul tu był, sprzedał jedne towary z korzyścią, zakupił drugie bardzo tanio i pociągnął do Tunis. Icek i Boruch Szlama poszli do Tunis i tam im powiedzieli żydkowie, którzy się za ręce trzymają, że Szmul Szlama przezwany mądry sprzedał i kupił towary z wielkim zyskiem i bez najmniejszej straty, i poszedł do Algieru, a z Algieru poszedł do Bony, a zamtąd do Tangieru, a z Tangieru do Mekinez, a ztąd do Maroko, a z Maroko do Tafiletu, i wszędzie mu szło dobrze. Synowie Szmulowa poszli za nim w trop. Ale w podróży z Maroko do Tafiletu, w tak nazwanych Mamman-Saharach, *simuhu* wiał tak okropnie i tak zabójczym żarem piekło słońce, że wszystkie wody wyschły w butelkach i nawet w żołądkach wielbłądzych. Znaczna część karawany wymarła w najokropniejszych męczarniach, a pomiędzy temi był Boruch Szlama, i znaczna część rozchorowała się na różne choroby, a szczególnie na zapalenie ocz. Icek Szlama stracił oko nim jeszcze przybył do Tafiletu, ale choć chory, zbolały i zmartwiony po stracie brata, zaraz pytał o ojca i dowiedział się, że mądry żyd z Jerozolimy był tutaj z towarem, i sprzedał go dobrze,

zakupił inny i wrócił z Tafiletu do Maroko jeszcze przed rokiem; że spieszo mu było bardzo, i że nie czekał zebrania wielkiej karawany, tylko z małą się puścił. Miał już wtenczas cztery wielbłądy, noszące najprzedniejsze towary Indu, Arabii i puszczy, ogromne paki napelnione piaskiem złotym, aromatami, jedwabnemi materjami, skórami, strusiem i piórami, koszenillą, gummą i kością słoniową.

Biędny Icek przeczuł całą okropność prawdy, przeczuł, że ojciec jego musiał zginąć w tej podróży. I w wielką wpadł rozpacz i włósy sobie wyrывał i suknie darł na sobie i krzykami swemi rozdzierał powietrze. Tu żył od kilku tygodni w karawanseraju zebrząc kawałka chleba i nie wiedząc co ma robić, kiedy przybył do niego jakiś człowiek z jasną brodą, a w sukniach maurytańskiego kupca i zaczął do niego mówić po arabsku. Icek mało znał ten język. Wówczas nieznajomy zaczął mówić po hebrajsku; Icek zdziwiony opowiedział mu po hebrajsku całą swą historią. A nieznajomy przemówił do niego po polsku. Icek jeszcze więcej zdziwiony rzucił się nieznajomemu do nóg i błagał go o pomoc i o radę; a ten dobry nieznajomy dał mu pieniądze i powiedział, że się sam dowie z kim Szmul Szlama ruszył w podróż, i czy kto wrócił z tej karawany do Tafiletu. Nikt nie wrócił z niej niestety; nikt nie mógł powiedzieć, czy karawanę pochłoniął *simuhu*, lub też, czy się stała ofiarą berberskich rabusiów. Nieznajomy często przychodził do Icka i radził mu wrócić do Maroko, pytać się wszędzie po drodze o wiadomości i prosić syna cesarskiego o pomoc w razie, gdyby stary Szmul miał być zabitym, lub uprowadzonym przez Berberów. Oprócz tego dał mu list do jakiegoś kupca w Maroko.

— A któż był ten nieznajomy?

— To był zapewne misyjonarz katolicki, rodem z jakiegoś kraju, w którym mówią po polsku—odpowiē Icek.

— Zkądże to wnosisz?

— Bo on i mnie chciał nawracać na chrześcianina, ale ja tak byłem skolatany, że ani słuchał tego, co on mi mówił. On tylko udawał, że był kupcem, ale nim nie był w istocie, bo o zysk nie dbał wcale. I na sztuce leczenia znał się także i niejednego wyleczył. Ale zawsze mówił o Bogu, i krzyż nosił na samém sercu wypiętnowany. Arabowie bardzo go czcili, kilku z nich nigdy go nie odstępowało i zwali go *talibem*, a imię miał Sidi Andra Emkadem, to znaczy po polsku: ojciec Andrzej.

— I cóż się z nim stało?

— Wybierał się w bardzo daleką podróż, aż do Tombuctu, za wielką puszcze Sahary. Ja zaś poszedłem za jego radą i niewiele dbając o życie puściłem się napowrót do Maroko, zasięgając wszędzie wiadomości o mym ojcu. Na nieszczęście dowiedziałem się całej okropnej prawdy. Na połowie drogi ztąd do Tafiletu, o 16 dni podróży z jednego i drugiego miejsca, dzicy Berberzy z El-Harib napadli na karawanę i wymordowawszy wszystkich kupców, uprowadzili z sobą wszystkie wielbłądy i kilku furmanów wielbłądzych. Z ciężkiem od żalu sercem wracam do Maroko i list Sidi Andra Emkadema oddaje kupcowi; ten mi wyrabia posłuchanie u syna cesarskiego, który jest dobrym i sprawiedliwym panem, i raz w tydzień sędzi sprawy wszystkich biędnych. I mnie wysłuchał cierpliwie i dał mi 10 cekinów złotych prosząc, abym miał cierpliwość, że może z pomocą Boga można będzie wysledzić sprawców zbrodni, skarać ich przykładnie i odebrać im choć część majątku ojca mego. Sekretarz dobrego księcia spisał najdokładniej całą mą skargę, i wiem, że wyprawiono listy do baszów; ale już czekam cztery miesiące i jeszcze mnie nie powołano do następcy tronu: może już cała sprawa zapomniana.

— A jak się nazywa kupiec, do którego ci dał list Sidi Andra Emkadem?

— Nazywa się Abu-Bekir-em-Amor i mieszka w Kaissaryi na lewo od wnijsia, handluje pargaminem, papierem i starymi książkami, i także zna się na lekach, ziołach i kamieniach. Każdy w Kaissaryi zna Abu-Bekim-em-Amora.

Dalem Ickowi kilka cekinów i obiecałem wstawić się za nim do następcy tronu, przez Ali-Solima baszę, kaznadara, zawsze pełnego dla nas dobroci.

Nie tracąc ani chwili czasu kazałem się zanieść do Kaissaryi, to jest do głównego karawanseraju, dla wyszukania Abu-Bekira-em-Amor.

Wszyscy znali go tu doskonale. Siedział sędziwy Abu-Bekir w małym sklepiu za stołem papierów i ksiąg, otoczony butelkami i flaszkami, puszkami i szkatułeczkami różnej wielkości i rozmaitych kolorów. Brodę miał czarną, świecą po pas, i zarostu tyle na bladej twarzy, że mało co jęj wyzierało; na oczach bystrych błyszczaly okulary, na głowie już łysiej zawój nosił czysty, zresztą jednakże prawie brudno był ubrany.

Pod pozorem kupienia książek wdałem się w rozmowę, i korzystając z pierwszej sposobnej chwili opowiedziałem sędziwemu księgarzowi kto jestem, i że tu znalazł rodaka w żydku, który przywiózł

kupcowi list z Tafiletu od osoby, która zapewne także jest mym rodakiem.

Sledczym wzrokiem wpatrywał się we mnie Abu-Bekir, nareszcie rzekł do mnie po włosku:

— Jakto? pan nie jesteś Anglikiem i dla dogodzenia swój ciekawości podróżujesz pod protekcyą tego narodu, który prawdziwój wiary najzaciętszym jest wrogiem?

Aha! pomyślałem sobie, to niezawodnie ksiądz katolicki, a odpowiedziałem:

— Nie uważam Anglików za nieprzyjaciół ludzi, ani téż chrystyanizmu.

— A tak jest w istocie, panie doktorze. Ludzkość, religia, chrystyanizm, wszystko to u Anglika jest tylko narzędziem do zdobycia materji, a nie celem, nie głównym przedmiotem. Wierz mi pan, że tak jest. Wypadki wkrótce okażą słuszość mego twierdzenia. Kto jest największym nieprzyjacielem Francyi?—oto Anglia, a Francya jakkolwiek dziś nisko stoi, nie przestała jeszcze być mieczem i tarczą przedziwnój i jedynój wiary.

Te słowa przekonały mnie, że mój Abu-Bekir-em-Amor był zaciętym Jezuitą, i nie myliłem się wcale.

— Wielebny ojcze, widzę bowiem, że jesteś kapłanem: wielebny ojcze!—odpowiedziałem—i Francuzi hołdują Mammonowi i Baalowi, może jeszcze serdeczniej od Anglików. Najlepszych swych przyjaciół opuszczają gdy trwoga, a może i rękę na nich podniosą, gdy interes chwilowy przemoże. Ale mniejsza o Anglików i Francuzów, mnie tu do ciebie wielebny ojcze sprowadziło co innego, ważniejszego. Dowiedziałem się, że mam ziomka uż w Tafilecie: co mogło zarzucić tak daleko syna téj samój co i ja ziemi?

— Nic go tam nie zarzuciło—odpowiē Abu-Bekir-em-Amor—zaprowadziła go tam gorliwość o dobro jedynój ojczyzny godnój chrześcianina—gorliwość o dobro naszego świętego kościoła. Sidi Andra Emkadem jest pośrednikiem pomiędzy mną a braćmi naszemi, pracującemi w winnicy Pańskiej w Tombuctu; on jest ważnē ogniwem téj niezmiernój sieci, która otacza kulę ziemską i jest na tym świecie reprezentantem Opatrzności boskiēj. Brat mój zblądził, że część tajemnicy powierzył niewiernemu żydowi; uniesiony uczuciem miłości do kraju i rodaka, przekroczył przeciw prawu nami rządzącemu; ale mu darować musimy, bo nikt prócz niego nie mógłby dokazać tego, co on dokazuje, nikt się więcēj nie poświęca dla dobra ogółu. On na swym szybkim mehari odbył w dwóch latach pięć

razy podróż z Tafiletu do Tombuctu i napowrót. Tego może jeszcze żaden człowiek nie dokazał. Ale czy wiesz mój synu, co to jest owa puszcza Sahary?

— Wiem, wiem mój ojciec: to piekło na ziemi — odpowiem misyjonarzowi.

— Trywialnego użyłeś porównania, ale masz słuszość, to piekło! Żaden jeszcze Europejczyk nie zdołał wytrzymać przez godzin sześć kłusu dromedara puszczy; Sidi Andra obdarzony jakąś siłą nadzwyczajną wprost mu od Boga daną, w tydzień jeden staje z Tafiletu w Tombuctu, w siedm dni pędzony uraganem zrobi przeszło 200 mil geograficznych drogi, i dwa razy tylko staje podczas podróży dla napojenia swego dromedara. Karawany dopiero w pięćdziesiąt dni stają z Tafiletu w Tombuctu, i tam odpoczywają półtrzecia miesiąca. Sidi Andra odpoczywa tylko dni dziesięć. On się poświęcił dla naszej wiary, bo raz zginąć musi w tej okropnej podróży, i zakopany pod piaskiem przepadnie, nie zostawiając na ziemi ani śladu. Ale on tylko w niebie pragnie znaleźć nagrodę i tam ją mieć będzie: my wszyscy o to Boga błagamy.

— Nie wiesz wielobny ojciec, z jakich okolic jest ten rodak, którego umiem ocenić zasługę i poświęcenie?

— Nie wiem ani z kąd jest, ani jak się nazywa swém rodzinnym nazwiskiem. Wiem, że jest Słowianinem, i że opuszczając seminarjum misyjonarskie w Rzymie, chciał być wysłanym tam, gdzie niebezpieczeństwo i trudy największe. Kościół jest jego ojcem, wiara jego matką, a nadzieja chrześcian jego ojczyzną.

Więcej w tym względzie nie mogłem się dowiedzieć od ojca Amora, tak się bowiem nazywał ów misyjonarz, znany tu i uwielbiany powszechnie jako człowiek surowej cnoty, wysokiego rozumu i wielkiej czynnej dobroci. Rząd tutejszy przenikał tajemnicę jego, chociaż była dobrze tajoną, ale ze względu na cnoty misyjonarza, patrzył na resztę przez szpary. Tak prawdziwa zasługa wszędzie, nawet i u fanatycznych barbarzyńców znajduje uznanie.

Nie byłem w stanie dowiedzieć się niczego więcej o ojcu Andrzeju. Zapewne już oddawna leży pogrzebany pod gorejącymi piaskami Sahary, i rodzina jego zapewne nie wie, że syn ten naszej ziemi rozkrzewiał wiarę na niej czerpaną, aż na okropnej puszczy dalekiego nieba.

Może też w sprawozdaniach missyi katolickiej wspomnianem jest gdzie nazwisko ojca Andrzeja? Szkodaby było, żeby tak piękny przykład poświęcenia zatraconym został.

Wróćmy jeszcze do sułtańskiego seraju, w którym murzyni uczą się ciągle mustry artyleryjskiej od owych *dragonów angielskich*, którzy tu nibyto dla eskortowania podarunków przybyli, a w Maroko stanawszy, na instruktorów artylerji marokańskiej wyszli. Płacono każdemu po gwinei dziennie, i przytém nie zapomniano przysyłać wszystkim codziennie monę, składającą się z całej menażeryi bydła i drobiu.

W trzecim tygodniu naszego pobytu zaledwie stu pozostało chorych w szpitalu. Lekarze tutejsi obeznali się z właściwym sposobem leczenia oftalmii egipskiej, i potrafili spożytkować zdobyte wiadomości. Najlepij udawały się ciągle irygacye wody letniej na oczy. Łatwo je użyć w szpitalach: nad szeregiem łóżek, przeciągaliśmy rynny z trzciny bambusowej, dobrze wyżłobionej, a w części tych rynien, przypadającej nad oczy, kazaliśmy wiercić dwie małe dziurki w odległości dwóch ócz; przez te dziurki dopiero przeciągaliśmy kawałki szpagatu stosownej grubości, które wisiały nad oczami na trzy cale. Z rynien napełnionych najczystsza wodą źródlaną, staczały się krople téj wody na oczy, chłodziły je bardzo przyjemnie, i obmywały z nich ropę. Po płótnie woskowém, należycie podłożoném pod głowę pacjenta, staczała się woda na podłogę marmurową, innéj bowiem nie było w całym mieście. Marmur tu i tani i dobry, i kilka tysięcy ludzi żyje z wydobywania go z Atlasu, i z obrabiania go.

Niesforemym, niechcącym trzymać ócz pod szpagatem, a takich było niemało, przekłuwaliśmy uszy, i za pomocą jedwabnych sznurków przywiązaliśmy ich za nie do łóżka. Często także musieliśmy przywiązywać ręce i nogi naszym pacjentom. Nic nas nie zrażało do osiągnięcia celu.

Nie każdego można było wyleczyć temi prostemi środkami: często należało się uciekać do wypaleń oka kamieniem piekielnym, do innych środków zewnętrznych i wewnętrznych bardzo sprężystych. W ogóle lekarstwa wszystkie, byleby były stosownemi, bardzo skutecznie i prędko działały na tych synów natury, nieprzepalonych alkoholem, nieprzedziurawionych merkuryuszem.

Nawet i *lepra*, *elefantiasis*, *pellagra*, *psoriasis* i inne choroby skór niezwykle w Europie, ustępowały po użyciu systematyczném środków krew czyszczących, i poty wolne pędzących. Na zwalczenie zapaleń, rzadko uciekaliśmy się do innych środków przeciwzapalnych, jak do saletry i innych obojętnych soli.

Następca tronu zadowolony był z rezultatu naszych działań, często nas odwiedzał w szpitalu, dwa razy nawet przyszedł *in cognito* odwiedzić nas w domu.

Dla Icka uzyskałem sto cekinów konsolacji, i solenną obietnicę, że sprawa jego, której uznawano słuszność, nie pójdzie w zapomnienie. W chwili obecnej nie można było dokazać więcej: prawie wszystkie berberyjskie plemiona stały w pogotowiu pod bronią, i domagały się ogłoszenia wojny świętej przeciw Francuzom, którzy przyparli Abd-el-Kadera tuż pod granicą marokańską. Emir umiał przez agentów swych gesto rozsianych wzburzyć umysły wszystkich fanatyków, i rozochocić rabusiów przeciw chrześcianom. Cesarz z natury swój wcale niebitny, nie cierpiał przeciw Francuzów, i co więcej, nie śmiał opierać się żądaniom fanatyków; a cesarzewicz chociaż lubił Francuzów i europejską cywilizacyą, nie umiał się oprzeć ochocie zmierzania się z zapaśnikami tyle zachwalonemi. Wrzały namiętności w kraju tak namiętnym jak marokański; przyjść musiało wkrótce do wybuchu. Partya umiarkowanych i rozumnych nader była nieliczną w radzie cesarzewicza, nader trwożliwą w radzie cesarza. Spokojni wieśniacy pragnęli pokoju, ale ich własni szekowie, posiadający po największej części stopnie honorowe wojskowe w armii cesarskiej, uważali za rzecz niestosowną opierać się ogólnemu usposobieniu umysłów, dążącemu do wojny.

Taki był stan rzeczy w początku czwartego tygodnia naszego pobytu w Maroko. Przewidywaliśmy burzę, ale póki garnizon angielski, chociaż tak nieliczny, stał w seraju sułtana, niczego nie lekaliśmy się wcale, dla własnej osoby przynajmniej.

Zrobić wycieczkę daleką w Atlas, to było mém najserdeczniejszym życzeniem w tej chwili; ale rzecz ta była niemożliwa: żaden nawet z Europejczyków tutaj przebywających nie miał odwagi jej dokonać. Tylko najniższe stopy tej świetnej góry były zamieszkałe przez włościan, wyżej pięły się lasy i bory, pieczary i jaskinie, służące za przytułek Berberom i dzikim zwierzętom. Dalej były skaliste i przepadliste okolice, a nakoniec wieczne śniegi, nigdy całkiem nietopniejące.

Atlas, ten Bóg tajemniczy, ten dźwigacz nieba, nigdy z tej strony i przez nikogo nie został wyzuty z swego państwo. Sterczał jak kregiel przed naszymi oczyma, i uragał się z odwagi ciekawych synów Europy. Tylko na stopy jego można było robić wycieczki, i nieraz w śmiałym pędzie arabskich rumaków dotarliśmy do lasów dziewiczych, opasujących starego Tytana.

Raz, byłoto już w końcu lipca, powołani do szejka Ben-Zoadar-Ziodacerów znaleźliśmy się w powabnej i żyznej okolicy na południu Maroko. Dr. Hamilton zatrudniał się rozmową z szejkiem; ja zaś pobieglem sam jeden ku studni starodawniej, pomiędzy pagórki, przepaści i duary Arabów. Mówili nam, że ta studnia jest zabytkiem Rumów, tojest Rzymian. Byłoto pod wieczór. Słońce chyliło się ku widnokręgowi, który w tém miejscu dość płaszczysty. Staje u studni, zdaleka oznaczonej wysokimi drzewami, otaczającemi ją jak duchy opiekuńcze. Studnia to monumentalna. Węzem się wily schody prowadzące aż do zwierciadła wody, a schody te opatrzone poręczą tak były wygodne, że nie mógł oprzeć się ochocie zejścia aż na dół. Zadumałem się, siedząc na kamiennych schodach. Aż tu naraz spuszcza się ponad głowy memi koneweczka gliniana, aż do zwierciadła wody. Sam niepostrzeżony patrzę w górę. Boże! coto za anioł czerpie tę wodę? Zaledwie ubrana, bo tylko w jasno-niebieskiej koszulce welnianej, chyli się dziewica ku głębi, i czerpie wodę wędką, u której na długim sznurze wisiała koneweczka. Na głowie pokrytą czarnymi jak heban włosami, w dwa długie warkocz splecionemi, nosiła czerwoną krymeczkę; oczy miała czarne ukosem wycięte, a twarz jak statua Praxitelesa, nieporównanej piękności, ale brązowa jak spiż, rumieniący się w blasku wschodzącego słońca. Wszystkie ruchy i wszystkie wdzięki téj młodej istoty jaśniały szlachetnością, i czułym językiem przemawiały do serca, zwłaszcza, gdy się młoda Arabka przechyliła przez balustradę studni.

Czerpnęła wodę i w górę windowała konewkę, ale ostrożnie, aby jęj nie zbić o żelazne poręcze, albo o same schody. I ja za koneweczką pobieglem w górę, bo z tym aniołem chciałem się poznać.

Wychodzę tedy ze studni i wołam:—Oh! jutrenko dnia mego, oh Zorayo! daj się napić wody.—Ona na głowie trzyma koneweczkę i ucieka, ucieka prędko jak antylopa, i krzyczy: *dżin! dżin!* tojest duch! duch!

— Nie, to nie *dżin*, kochanie, to tylko *rumi* spragniony, który błaga, abys mu udzieliła choć kropelkę z téj wody, bo umiera z pragnienia—rzeknę dalej, błagając.

— *Rumi? rumi?* — odrzekła dziewica, i z ciekawością w tył spojrzała.—Ja *rumia* nigdy nie widziałam: jak wygląda *rumi*?

— Ot tak wygląda! patrz na mnie dziewczico: wygląda jak wy wszyscy!

— Chodź więc oh *rumi*! chodź, kiedyś spragniony — rzecze dziewica arabska, i z głowy zdejmując koneweczkę, o łono ją opiera, i brzegi naczynia do żelaznych ust zbliża.

Ja klękam i piję, i długo piję, bom istotnie był spragniony.

— Ale miła dziewico, czemu ci wywdzięczę— rzekłem ocierając brodę.— Patrz, tu na spodzie téj koneweczki musi być coś dla ciebie.— Istotnie na spodzie koneweczki błyszczał piękny nowiuteńki cekin złoty.

Ach jaka była radość młodej dziewczyny! ona jeszcze nigdy w swém życiu złota nie posiadała. I tego nie wyda cekina, tylko go przekłuje i we włosach nosić będzie.

Ale trzeba znów napelnić koneweczkę, bo woda z niéj wypita i wylana. Ileto nieporównanej gracy w ruchach a piękności w tych bosych nogach, stokroć kształtniejszych od wszystkich utworów dłuta najpiérwszych rzeźbiarzy. Cały raj cudnych uroków!

— Powiedz śliczna dziewico, jak się nazywasz?— rzekłem do méj nowéj przyjaciółki.

— Imię mi Azali—odpowié Arabka.

— A daleko ztąd mieszkasz?

— Oh tuż blisko: patrz w tym duarze, którego chatki pod koronami palm i pomiędzy jaśminami stoją.

— I pozwolili ci pójść saméj czerpać wodę?— pytam dalej.

— Ja prawie sama pozostałam w tym duarze z małemi dziećmi i starcami. Mężczyźni co broń mogli nosić, lub téż chłopcy co już krzyczeć tego umieją, poszli zrobić obławę na lwa, który nam trzody pustoszy; wszystkie zaś dorosłe kobiety są na weselu w drugim duarze. Ja pozostałam w domu, bo nie mam się w co ubrać: przed tygodniem pożar wybuchnął w naszej chatce i w nim spłonął cały mój ubiór świąteczny. Sama jedna jestem w chatce mych rodziców, w téj nowéj chatce, którą nam przyjaciele wystawili—dodała Azali rumieniąc się i patrząc mi figlarnie w oczy.

— Ale psa macie bardzo złego, nieprawda?

— Psa mamy złego, ale go zamknę w obórcie, żeby nie szczekał—rzecze Azali z ową niewinną minką dziewiczej naiwności.

— Słuchaj Azali, zobacz na spodzie twéj koneweczki, może tam znajdziesz jaki cekin, bo ich tam wiele w téj studni.

Azali zdjęła konewkę z głowy i znalazła w niéj drugi złoty piciułek. Ach jak była uszczęśliwioną! jak ją ozdabiała radość!

Azali pobiegła do duaru z koneweczką próżną na swéj pięknej zakłopotanej głowie. A ja stałem długo na tém miejscu i zapłakaném okiem ściagałem lotny cień znikający w nocnej pomroce.

Długo marzyłem i walczyłem z sobą. Wszedł srebrny księżyc. Azali po wodę nie wraca. Bądź zdrowa arabska dziewico,

jutro łowić znów będziemy złote cekiny. Oh! księżycu! z dalekiego przychodzisz wschodu, i palcem mi grozisz.

Bądź zdrowa arabska dziewico! na zawsze!

Już koń osiodłany, wszyscy na mnie czekają. Siadam na koń, wszystkich za sobą zostawiam.

— *Ok irehm?* (kto idzie)?—pyta warta seraju Abderhammana.

— *Engle Tibib! Fodor-Efendi! Ered miatah! ikdam* (angielski doktor, Fodor-Efendi. Otwórz bramę natychmiast).

Nazajutrz po południu wchodzi mister Westmoreland do nas i zaciągając ręce śmieje się rozkosznie.

— Oho! zwiastujesz nam jakieś nowiny?—zapyta dr. H.

— I ważne, i wielkie. Wygraliśmy sprawę przeciw Francuzom—odpowiē Westmoreland.—Wojna święta w Maquinez już ogłoszona w téj chwili, pojutrze zaś ogłoszoną będzie w Maroko. Dalej w drogę; Francuzom nawarzyliśmy dobrego porteru: idzie o to, żebyśmy go nie skosztowali sami. Wasi chorzy już się dobrze mają; jutro w drogę wszyscy razem, nieprawdaż? Chyba, żebyście chcieli tu pozostać na własną rękę, ale nie radzę, to lud fanatyczny, i bijąc się za wiarę, gotów przyjaciół chrześcian wziąć za nieprzyjaciół Franków.

Pożegnanie nastąpiło na uroczystej audyencyi; podarunki dane, dalibóg dość skromne, aleć to ciężkie czasy, wojna przed wrotami, a chorzy już wyleczeni; już nie masz o co prosić. Kasnadar pożegnał się z nami czule: nie był on chętnym owéj świętéj wojnie i przewidywał klęskę dla swego kraju. Icek już był założył mały handelek i w najlepsze szachrował. Abu-Bekir-el-Amor znikł gdzieś od dni kilku; jego pomocnik Maur, skrycie do chrystyanizmu nawrócony prowadził handel i utrzymywał, że pryncypał poszedł do Tafiletu zakupić towary.

Wracamy do Mogadoru: już nas gwardya Negrów nie eskortuje, spahisów tylko i janczarów dodano nam kilkunastu do straży.

Podróżujemy bardzo szybko bez dział, bez fregat i bez pontonów, a podarunki marokańskie nie ciążą nam wcale. Saharę mogadorską przebywamy przy świetle księżyca; wielka spokojność w atmosferze: puszcza piaszczysta niezatumaniona, rosą zwilżona, gładką była tym razem i połyskiwała jak ogromne prześcieradło w srebrnym blasku księżyca.

Mijamy grobowiec świętego Mogadola, mijamy i El-Kawar, to jest miejsce spoczynku umarłych dzieci Mahometa. Muezzin na minarecie wzywa do modlitwy: Maurowie, Arabowie i Negry zsiadają z koni i wielbłądów, myją się w rzece, ścielą burnusy na ziemi i twarz

zwróceniu ku wschodowi klękają i modlą się rzewnie do *Alli*. Żydzi zebrani w osobną gromadę kiwają się, przypasawszy przykazania Mojżeszowe do głowy i ściągnawszy rzemieniem rękę lewą, tak jak to zwykli czynić hussyci w Pinczowie i w Kolbuszowej. Chrześcianie tylko pozostali na swych koniach, lecz je zwrócili ku wschodowi także, i w tej chwili uroczystej myślą o Bogu i o Synie jego, który nam zwiastował, że kiedyś wszyscy będziemy braćmi, i że wojny ustaną, skoro w serce trybunów ludzkości wstąpi szczerą miłość dla ludów.

Most zwodzony, wysoki mur, a na nim dwie zbliżone do siebie baszty, to brama lądowa Mogadoru.

— *Ok irehm!*—krzyczy warta.

— Angielscy żołnierze wracający z Maroko—odpowiada kapudan prowadzący nas.

— Poczekajcie aż słońce wejdzie i basza wam wstępu dozwoli; ale odstańcie na 200 kroków od bramy—odpowiódł oficer od warty. Chcemy parlamentować. Oficer każe wam wziąć broń na ramie i chce strzelać. Nie masz rady, koczować musimy.

Świtać już zaczyna. Coś czarnego pnie się jak pajak na szczyt bramy, i zatyka coś okrągłego czarnego na jeden z haków, sterczących jak kły dzika ponad łukiem bramy.

To głowa człowieka.

Słońce wschodzi, wschodzi prędko, prawie nagle pierzchają nocne ciemności i znika niepewność.

To głowa Abur-Nazy zatknięta na haku, to głowa gońca konsulatu angielskiego, tego samego, co chciał być królem Gambii i zenić się z królową Wiktoryą.

Biędny murzyn padł ofiarą gniewu i słowności baszy. Prawda, baszy nie wrócono wielbłądów: wielką poniósł dzięki Abur-Nazy stratę.

Wpuszczają nas do miasta, biegniemy do konsulatu. Wita nas pan Wilshire, konsul angielski.

— Co się stało z Abur-Nazą?—pyta pan Westmoreland.

— Co się stało? Śpi w swą budkę tu na dziedzińcu konsulatu, w budce janczarskiej—odpowiódł konsul, nie spodziewając się niczego.

Spieszymy do budki. W jednym pokoju śpią janczary i chrapią jak trąby janczarskie; w drugim pokoiku śpi Abur-Naza, ale nie chrapi, bo nie ma czém chrapać.

— Głowę gdzieś podział nieborak, dalibóg nie masz jej tu nigdzie—rzecze pan Wilshire nie wychodząc z angielskiej flegmy.

— My widzieliśmy kogoś co, zatykał głowę Abur-Nazy na bak bramy lądowej, i potem sobie poszedł,—odpowiódł pan Westmoreland.

— Ale to zapewne nie sam Abur-Naza wyniósł swą głowę na przewietrzenie—rzecze znów mister Wilshire. To sprawa baszy i figiel szaiszy jego.—O tak zręcznym kacie w życiu mém nie słyszałem—rzecze dalej pan Wilshire.—Niedawno, będzie temu ze dwa miesiące, nie! zaledwie siedm tygodni; niedawno mówię, basza kazał szaiszy pójść do żydowskiej dzielnicy i ściąć głowę jednemu żydowi handlującemu mąką i podejrzanemu o fałszowanie swego towaru. Szaisza przebrał się i głowę zasłonił burnusem umyślnie, aby go nie poznano, i zszedł kupca właśnie w chwili, gdy ten nachylony przymieszywał krédę do beczki napół napełnionej mąką. Raz tylko machnął krzywym pałaszem, a głowa spadła w beczkę, i sam żyd dał nurka w mąkę. Nawet nikt z przytomnych nie spostrzegł się na figlu, i wielkie było zadziwienie żydów, gdy kupca wyciągnęli z beczki bez głowy. Basza śmiał się do rozpuku z tej operacji i kazał wdowie po Abramku dać za to szaiszy trzydzieści cekinów. Ale *à propos*, cóż pocniemy, czy wypowiemy wojnę cesarstwu marokańskiemu?”

— Oh nie! my nie na to tu przybyli, żeby Francuzom pomagać. Tułów Abur-Nazy pochowamy *ad acta*, i przy stosownej okoliczności upomnimy się za krzywdy. Wkładać się do konsulatu angielskiego i w ten sposób golić głowy jego sługom, to przecież bardzo niegrzecznie.

A tak polityka chwilowa skłoniła tym razem Anglików do strawienia głowy Abur-Nazy, w tym właśnie czasie, w którym Francuzi upominali się zbrojną ręką o głowę pana Wiktora Darmon, Marsylezyka, konsula Hiszpanii i Sardynii, ściętego w Mazagan z rozkazu baszy. Z czego wypada, że дума angielska gotowa kapitulować, gdy idzie o upokorzenie rywali.

Kapitan Bowley krążył na swym Trydencie po wszystkich wybrzeżach Afryki zachodniej, na południe posuwał się aż do brzegów Gwinei i tam polował na rozbójników morskich i na handlarzy niewolników. Za kilka dni jednakże wpłynął do przystani Mogadoru, już po ogłoszeniu *dżehadu*, to jest wojny świętej.

Te kilka dni spędzaliśmy bardzo cicho i prozaicznie w obrębie murów konsulatu angielskiego. Basza raczył nas ostrzedz, że przy wzburzonym stanie umysłów ludu byłoby niebezpieczną rzeczą zwracać na się jego uwagę wycieczkami w głąb kraju, lub nawet w samo miasto.

Opuszczamy Mogador właśnie w dwa miesiące po wylądowaniu na brzegi Tangieru. W kilka dni później stawamy w Gibraltarze, gdzie wielka radość z wojny sprowadzonej na Francją. Cieszą się tu błogą nadzieją, że nieliczna francuska armia zgnieconą zostanie w pierwszej potyczce przez marokańskie hufce.

Księżę Joinville już krążył około Melilla, Ceuty, Alhucenas, Gibraltaru i Tangieru. Trzy miał statki liniowe o 120tu działach, jedną fregatę o 52, trzy brygi i 9 statków parowych. Jeszcze oczekiwano innych statków.

Z Gibraltaru przesłaliśmy niewolników naszych obdarzonych przez nas wolnością i pieniędzmi do Tangieru, z Tangieru zaś sprowadziliśmy rzeczy nasze i ową biedną Nubijkę, którą dr. Hamilton był nabył. Miała się już lepiej i z wielką niecierpliwością nas oczekiwała. I Mosiek wrócił do Tangieru, gdzie miał żonę i kilkanaście bachorząt; zbierał on sobie do trzechset cekinów złotych w tej podróży i za nie zakupił towarów w Gibraltarze i założył handelek w Tangierze. Może już oddawna jest milionowym panem.

Nowiny nadeszły z Tangieru i z prowincyj północnych Maroko. Wszystko się brało ochoczo do oręża, jeden tylko wieśniak arabski niechętnie opuszczał swą rolę i swą pracę. Pod każdą strefą, w każdym narodzie, chrześcijańskim czy niechrześcijańskim, praca jest kolebką rozumu i uczciwości; kto się w niej zamyka, kto ją uszanuje, ten ścigać nie będzie za zdobyczą, ten nie zechce zawdzięczyć przypadkowi żadnej korzyści.

A cóż jest szczęście wojny, jeśli nie przypadek?

Żał mi tych pocziwych włościan arabskich: wielkie posiadają przymioty. Gościnni są i litościwi, pracowici, bogobojni, a przytém skromni w gustach, daleko mniej materyalni jak wiele ludów chrześcijańskich. Arabski rolnik gdy pracę dzienną skończy, wsiada na konia i buja po błoniach i puszczech, szybszy od wiatru i uraganu, lub też zapala ognisko, zbiera około niego swych przyjaciół, opowiada, lub przysłuchuje się opowiadaniom. Bieg konia go upaja i myśl jego czaruje, brzydzi się winem, o wódce nigdy nie słyszał. W boju jest mężny, nieustraszony w walce z dzikimi potworami puszczy, w giestach swych poważny i pełen gracy. Czytać i pisać nie umie i nie wie nawet, że człowiek wymyślił jakieś sztuczne frazesa na zdefiniowanie swych praw przyrodzonych; ale instynktownie jakoś wie, pojmuje i czuje, że owo stworzenie podobne do niego twarzą i wszystkimi organami, nie może być od nie-

go nieskończenie wyższém, ani téż nieskończenie niższém, chociażby było w brylanty osadzoném, lub chodziło w łachmanach.

Wié on dobrze o tém, że na jedno skinienie szejka, kadego, kaïda, baszy lub sultana grad batogów sygnie się na jego piéty, a nawet i głowa spaść może; ale szejk jest ojcem, którego sobie wybrał, kady sędzią uczonym oddawna znanym z uczciwości, kaïd chciwym poborcą podatków cesarskich, basza najczęściej zdiercą, a sultan jedynym jego panem, na którego dopiéro na drugim świecie wolno się żalić lub uskarżać. Szejka tedy kocha, kadego wielbi, kaïda się strzeże, przed baszą ucieka, przed sultanem pada na kolana, gdy go zoczy, i bez strachu i bojaźni wyjawia swe żale, gdy mu niesprawiedliwość podrzędnych zanadto dokuczy: bo jedynie tylko sultan ma prawo bezwzględne do jego życia i do jego mienia; uchodzić przed jego sprawiedliwością na tym świecie niewolno, bo on jest z rodu Mahometa, doczesnym stróżem Boga: uległość dla niego jest artykułem wiary.

Tak tedy włóścianie arabscy chociaż ubodzy i ciemni, spodłoniemi jeszcze nie są. Mają monarchę gdzieś tam daleko żyjącego, uznają zwierzchników z własnej woli, lub z woli cesarskiej postanowionych; ale dostawiwszy kontyngens i opłaciwszy podatki, za wolnych się uważają ludzi, i zbrojnym oporem lub ucieczką w góry odpowiadają na wkroczenie baszy i kaïdego w ich swobody.

Rolnik arabski choć mu błogie światło chrystyanizmu nie przyświeca, pracowitym jest, moralnym i co się nazywa dobrym człowiekiem. Owéj chwilowéj i przemijającej rzewności religijnej, którój doświadczają czasem i najgorsi ludzie, wprawdzie nie znają; ale myśl religijna przez nich pojęta, ciągłą potrzebą poezyi w serce wcielona, czuwa nad Arabem bezprzestannie, towarzyszy mu wszędzie, nigdy go nie odstępuije prawie, gdyż chwile gniewu u niego są nader rzadkie.

To dzieci natury niezsute, nieznajdujące w zapomnieniu samego siebie ani uroku, ani ulgi, nieoddające się ani pijaństwu, ani téż poddające się zapalczywości.

Z alkoranu pojęli tylko to, co się najłatwiej do ich zatrudnienia, do ich położenia da zastosować, a to jest do pewnego stopnia mądrém i dobrém; w żadne nie wchodzą dyskusye dogmatyczne, wyłączające takich lub owakich bliźnich z prawa do litości Boskiej, lub z prawa do szczęścia wiecznego. „Bóg go sądzić będzie” mówią patrząc na złego człowieka.

Prawdziwie nie ma pod słońcem ludu zdolniejszego, więcéj usposobionego do korzystania z dobrodziejstw chrystyanizmu. Na-

uka Chrystusa przez tak prostych, rzetelnych ludzi przyjęta, będzie prawdą, ciągłym czynem popartą, a nie ową niepewną wiarą zaczynającą się od tliwości, a kończącą na nietolerancyi; błakającą się bezustannie pomiędzy bojaźnią śmierci i chciwością przyjemnych wrażeń, tak jak ją na nieszczęście pojmują owi nowożytni religijni uczuciowcy.

Włóścianie, czyto będą Arabowie, czy Maurzy, czy Beduini mahometanscy i izraelscy, stanowią najwięcej interesującą, najważniejszą i najliczniejszą klasę ludu marokańskiego. Jest ich przeszło 4 miliony, a zatem większa połowa ludności marokańskiej z wieśniaków się składa. Klasa ta pod rządem mądrym i sprężystym, stałaby się narzędziem odrodzenia dla całej północnej Afryki.

Maur, *szlachcic tego narodu*, co go nazywają marokańskim, pokrywszy Hiszpanią pysznemi pomnikami, błyszczący niegdyś jak meteor na firmamencie sztuk i nauk, nie posiada nawet samowiedzy swój świetnej przeszłości: dziś chyli on swe czoło pokornie. Wszystko u niego przeżyte, wszystko zjadłe: dla niego nie masz przyszłości, nie masz odrodzenia, nawet cudzoziemskie jarzmo wskrzesić go nie jest w stanie do życia i honoru. Pod obcym panowaniem (jak się to w Algierji wykazuje), Maur nauczy się od swego zwycięzcy wszystkiego złego: wiarołomstwa, rozpusty, karciarstwa, nawet pijaństwu gotów się oddać.

Inny przedstawiają widok, inne nadzieje rokuja wieśniacy arabscy. Korzyści cywilizacyi, na które od tak dawna spragniona czeka ziemia afrykańska, od tej klasy ludu najpierwój ocenionemi zostały.

Dr T. Tripplin.

